Nr. 40. We Lwowie dnia 7. października 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Litwini na wystawie w Paryżu.

W jednym z wspaniałych pałaców wystawy w „Trocadero“, przeznaczonym dla etnograficznych i geologicznych zbiorów, znajdujemy mały zakątek, gdzie w skromnych rozmiarach odtworzonem jest życie Litwinów.

Środkowy i główny punkt tego małego światka zajmuje wnętrze chaty włościańskiej, nad wejściem do której widnieje nadpis, artystycznie wykonany, „Lithuanie“, z herbem litewskim „Pogonią“.

W chacie, która we wszystkich swoich szczegółach jest prawdziwym wizerunkiem naszych chat wieśniaczych, widzimy 5 osób w strojach narodowych, ugrupowanych przy stole. Jest to obraz przedstawiający chwilę z życia obyczajowego: przyjazd swata z pretendentem do ręki młodej córki gospodarstwa.

Szafy i witryny, znajdujące się w najbliższem sąsiedztwie z chatą, zawierają domowe wyroby ludu litewskiego, historyczne jego pamiątki i literaturę. Na ścianach porozwieszane mapy: etnograficzna, historyczna z czasów 16. stulecia i inne; dalej z jednej strony portrety wielkich książąt litewskich Olgierda i Giedymina, z drugiej zaś działaczy litewskich z najnowszych czasów: S. Dowkonta, biskupa Wołończewskiego, Dr. Szliupasa, Dr. Basanowicza, Dr. Kudyrki, J. Szernasa i ks. Burby.

Rzeczy, zawierające się w witrynach i szafach, są rozklasyfikowane na 3 grupy dla łatwiejszego orjentowania się: a) dział zawierający wyroby artystyczne ludu wiejskiego, b) wyroby domowego przemysłu i c) wyroby używane w gospodarce wiejskiej. W grupie a) znajdujemy drobiazgi rznięte z drzewa: ozdobne laski, noże, łyżki, rozmaite figury; plecione ze słomy ozdobne koszyki; wyroby srebrne i t. d. W dziale b) mamy dużo wyrobów domowego tkactwa: płótna, obrusy, ręczniki, materje wełniane grube i cienkie; jest tam też spora ilość rzeczy robionych na prątkach: wełniane rękawice, pończochy, szale i t. d.

Najważniejsze miejsce jednak w tem wszystkiem zajmuje wystawa literatury i prasy litewskiej, dla której właściwie przedsięwzięto całą pracę wystawy.

Litwini od roku 1864 są pozbawieni przez rząd rosyjski prawa drukowania u siebie w kraju swoich książek i pism łacińskiemi czcionkami.

Rozporządzenie to musiało wpłynąć ujemnie na rozwój naszej zaledwie kiełkującej literatury. Rzut oka na cały nasz dobytek duchowy w ciągu tych 36 lat, które upłynęły od owego czasu, może jednak przekonać ludzi, że Litwini pomimo tak trudnych warunków nie zaniechali pracy na tem polu, pracując nad swoim językiem, literaturą i oświatą ludową. Dużo tysięcy rubli i niemało istnień ludzkich pochłonęło dzieło przemycania pism i książek przez granicę pruską do Litwy. Trudności te jednak nie zniechęciły Litwinów do tej pracy, bo codziennie widzimy, jak ruch ten zamiast zanikać pod uciskiem żelaznej ręki caratu, rośnie i potężnieje na zgubę swego wroga.

Cały ten zbiór książek i pism z ostatnich lat 36, o ile się udało wszystko zebrać, mieści się w jednej z większych szaf. W dwóch innych zebrane są wydawnictwa z czasów przed 1864. r., dzieła gotyckim szryftem pruskich Litwinów i historyczne pamiątki. Dla uzupełnienia obrazu Litwy umieszczono sporą ilość fotografji z miejscowości litewskich, typów narodowych, budowli, narzędzi, bydła, scen z życia obyczajowego i t. d.

Urządzeniem tej wystawy zajmowali się Litwini z obu zaborów, jakoteż Litwini amerykańscy, którzy z hojną ofiarnością dostarczyli zasobów pieniężnych.

24. września 1900.

A. Letuvis.

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

Od onej nocy listopadowej, którą Chodowie spędzili w więzieniu na zamku, mróz już nie zelżał w górach. Zima zawitała tu nie na żarty! W dolinach wiatr zmiatał jeszcze opady śnieżne, ale szczyty już się nie wywijały z niepokalanej bieli. Dumne czoła Haltrawy, Czerchowa, Szkarmańca i innych nad krainą Chodów lub hań dalej w podgórzu szumawskiem wspinających się gór, przywdziały puszyste zawoje, których rąbki płynęły po zboczach i reglach, odbijając od żałoby zamilkłych lasów...

A grobowe milczenie panowało teraz nietylko po lasach, lecz i w całym kraju chodzkim. Zdawałoby się, że niedawne zajścia w Ujeździe i na zamku lęk jakowyś rzuciły na wszystkie wioski. Nigdzie ani śladu nieposłuszeństwa, oporu, buntu, jak gdyby cała odwaga i męstwo krnąbrnych Chodów rozwiały się w popiół wraz ze spalonymi dokumentami...

Ponura ta cisza nie była jednak małodusznem zdaniem się na los, bezmyślną rezygnacją: drzemała w niej burza!

Szybko, niby wichura jesienna, obleciała całą okolicę, od Postrzekowa do dalekich Poczynowic, wieść, o wypadkach w Ujeździe i na zamku, o zachowaniu się Lammingera wobec Chodów i spaleniu przywilejów. I niejedna głowa pochyliła się na tę wiadomość złowrogą pod brzemieniem żałobnej myśli, z niejednej piersi wyrwało się westchnienie, że teraz niema już zratowania... Ale też więcej, niż kiedykolwiek przekleństw leciało ku białym murom nowego zamku, a w namiętnych pogwarach o nowym gwałcie panów dyszał gniew, syczała zemsta, głusząc żywiołową siłą odosobnione westchnienia i żale.

Często bardzo odzywały się też w onych pogwarach wieczornych uznanie i wdzięczność mieszkańców Ujazdu za pełne godności zachowanie się wobec wrogów i mężną obronę odziedziczonego po ojcach skarbu. Zwłaszcza śmiałe wystąpienie Jana budziło powszechne uwielbienie. Najpierw przybiegli do Ujazdu znajomi z Drażenowa, Postrzekowa, Chodowa, aby się dokładnie o wszystkiem na miejscu wywiedzieć i okazać życzliwość tym, którzy za nich wszystkich ucierpieli. Potem zaczęli się zjawiać przedstawiciele najdalszych wsi chodzkich i to ludzie starsi, doświadczeni, ogólnym cieszący się szacunkiem. Stawali albo wprost u Kozinów, albo też przychodzili z wójtem Syką ścisnąć dłoń młodemu gaździe. I każdy z tych gości kończył żywą rozmowę pytaniem:

— A co dalej będzie?

— Wicie, poniekiedy trza milczeć. Ale pamiętajcie, żechmy dziś ostatniego słowa nie rzekli. Dyć usłyszycie!... — odpowiadał Kozina.

Nie zwierzał się przed nikiem, że nie wszystkie papiery uległy zniszczeniu, że dwa z nich — i to najlepsze — ocalały. Szczęśliwe to zdarzenie pozostawało do czasu tajemnicą między nim, wójtem, strykiem drażenowskiem i starą matką.

Hanka nadziwić się wprost nie mogła, patrząc na męża. Sądziła, że po tak bolesnych przejściach będzie bardziej jeszcze zgnębiony i smutny, że nie zapomni tak łatwo... Tymczasem, wbrew oczekiwaniom, okazywał więcej, niż przed tem, spokoju, był rozmówniejszy, jakkolwiek nie wróciła mu pogodna wesołość z pierwszych lat ich pożycia. Owszem: takim, jakim wówczas bywał, Hanka nie miała go już nigdy ujrzeć... Dziwiło ją niemniej, że zaglądał teraz często do matki i długie chwile trawił na ożywionej z nią rozmowie. Zdarzyło się też parę razy, że gdy ona weszła do izby, milkli lub zaczynali widocznie mówić o czemś innem. Co to miało znaczyć? Ukrywali coś przed nią. Ale co?

Miała pewność, że nie jej osoba bywała przedmiotem tych rozmów, od pamiętnego bowiem najścia wojska na wieś, teściowa okazywała jej daleko więcej serca, niż dawniej. Jan też nie zmienił się ani „na kończecek“... a jednak nie mogła się otrząsnąć z niepokoju. I pewnego wieczora, siedząc z Hanusią obok męża, który bawił się z Pawełkiem, zagadnęła go nieśmiało o te narady z matką, zapytując, czy niema jakich kłopotów. W pytaniu serdecznem, w tych kilku słowach, z trwogą wypowiedzianych, malowała się cała jej dusza, bezpodzielnie mu oddana, bezbrzeżnie go miłująca.

— Cóż ci to zaś przyszło do głowy? — zaśmiał się Jan. — Cobych miał cudnego do mówienia z mamą? Wiesz jako jest prawą Chodką, z krwi i ducha, ja też nie zdolę tak wnet zabaczyć, więc prawimy, jako to za dawnych bywało czasów. Bądźże, Hanko, spokojna przecie! Niemasz nikogo na całym świecie bożym, ktoby milszym mi był od ciebie i dzieci.

Mówił prawdę, więc i głos dźwięczał szczerze, serdecznie. Mogłaż mu Hanka nie uwierzyć, zwłaszcza gdy otoczył ją ramieniem i przytulił do piersi, zbliżając tym ruchem ciemnowłosą główkę Pawełka do złotokędzierzawej, Hanusinej?...

Grobowe milczenie panowało na chodzkiej ziemi...

Natomiast bujne życie kipiało na zamku terhanowskim. Szlachetnie urodzony pan z Albenreuthu przeglądał pilnie księgi rachunkowe, obliczał dochody z dóbr, nie gardząc najdrobniejszym groszem, dojeżdżał na dalsze folwarki, kontrolował tam rządców i przynaglał do roboty czeladź, która uginała się wprawdzie pod brzemieniem

ciężarów przerozmaitych, lecz w jego oczach zawsze mało robiła.

Częściej niż dawniej odrywał się jednak od gospodarskich zajęć, aby witać gości, których sprasza teraz na zamek z uprzejmością wielką. Była to przeważnie szlachta okoliczna lub oficerowie z garnizonu w Pilznie, a między nimi hrabiowie Stampach i z Freudenthalu.

Nigdy jeszcze tyle osób nie bawiło na zamku i nigdy liczniejsza dzużyna myśliwska nie wyjeżdżała stamtąd na łowy. Na czele świetnego orszaku jechał zazwyczaj sam Lamminger, pogodny i ożywiony, jakim bywał stale w ostatnich czasach. Zmianę tę w usposobieniu surowego i niedostępnego pana dostrzegali wszyscy ludzie dworscy, nie umiejąc jej sobie wytłumaczyć. Zauważyli ją niemniej i górale w serdakach baranich i kosmatych czapkach, co prowadzili na smyczy psy pańskie, lub szli przed polowaniem z ciupagami w ręku, aby płoszyć i napędzać zwierzynę w lasach, gdzie ojcowie ich sami polowali niegdyś swobodnie i wesoło. Chodowie bystrem pozierali okiem w twarz Lammingera i dobrze rozumieli jej wyraz. Temu też, że spalił dokumenty, ważył się teraz nowym ciężarem przygnieść ich barki. Wszak dawniej nie ośmielonoby się nakazywać z zamku, aby górale z Chodowa i Kleńcza szli naganiać zwierzynę. Musieli usłuchać. Poszli — nie porada było nie pójść! Ale serca kipiały im gniewem i oburzeniem, gdy spoglądali z pod wysoko położonego lasu na panów, jadących wolno ku nim ubocza...

Brutalny ów nakaz spadł najpierw na Chodowo i Kleniecz, budząc w całej ziemi chodzkiej złobę i współczucie.

— Wilk ze zamku otwiera już kufę!

— Doczkamy gorszych jeszcze czasów!

— Dziś Chodowiaki i Klenieczanie — jutro my..

Tak mówiono po wioskach i chatach, wspominając łowy ojców, którzy obowiązani byli jeno składać na godnie święta w Domażlicach, jako daninę, kilka zajączków, a mianowicie: z Chodowa, Postrzekowa, Kleńcza, Ujazdu, Drażenowa, Poczynowiec, Straży i Kiczowa po dwa, a z Międakowa i Choty po jednym!

Dawne wspomnienia i świeże wypadki dostarczały też wątku do rozmowy w chacie Przybków, na prządkach. W przestronnej, dobrze opalonej izbie gwarno było i dość wesoło, bo chmurna postać Macieja nie mroczyła jej swoim cieniem tego wieczora. Ostatni chorąży chodzki wydalił się z domu o zmroku jeszcze, jakby unikał wesołego towarzystwa, jakby czuł, że się do niego już nie nadaje.

Natomiast stary jego ojciec zasiadł między parobczakami i dziewczętami, do których przyłączyła się tego wieczora i Dorla, młoda żona Iskry Rzehurzka. Namówił ją do tego sam mąż, obiecując wstąpić za chwilę i wrócić razem z nią do chałupy. Usłuchała chętnie, bo w samotnem ustroniu pod lasem przykrzyło się jej nieraz bez ludzi, zwłaszcza w nieskończenie długie wieczory zimowe.

I prządki jednak nie były dziś tem, co zawsze. Nie umilały ich wesołe śpiewki, śmiechy, żarty. Lekkomyślna młodzież nie miała serca do zwykłych rozrywek, wolała mówić raczej poważnie o wypadkach niedawnych. I nie było się czemu dziwić, zwłaszcza tu, w chacie Macieja Przybka! Smutna teraźniejszość zniknęła jednak na chwilę młodej gromadce z przed oczu, gdy stary Przybek przechodząc od polowania Lammingera do dawnych wspomnień zawiódł słuchaczy do olbrzymich borów, pełnych w oną porę dzikiego zwierza.

— W każdziuteńką noc zimową miewalichmy piękną muzykę pod oknami. Wilki wyły, aże strach, a z rania doły pełne były tego zwierza. Kożuch wilczy nie kosztował drogo, — nie. A kto szedł do miasta lub do lasu, musiał być przygotowany na spotkanie z wilkiem... Ubiłek też nie jednego własnoręcznie... Owa! kieby ta ciupaga mogła ino rzeknąć!...

Wszystkie spojrzenia zwróciły się w stronę, w którą Przybek wskazywał oczyma i ruchem ręki. Jeden zaś z młodzianków wziął ciupagę i począł oglądać. Była z dębowego drzewa, niezwykle wysoka i ciężka, urobiona widocznie dla krzepkiego ramienia, z którego słynął ród Przybków. Pod błyszczącą siekierką, w żółtem kowaniu, świeciły w srebrnych otokach czerwone i niebieskie kamyki. Chłopcom podobało się okrutnie i przednie kowanie i cała ciupaga. Ważyli ją w ręku, próbowali ciąć w powietrzu.

— Nie chybia jej roków, dość jest stara — zauważył któryś z obecnych.

— Hej, — starsza, niż ty i ja. Chadzał z nią jeszcze mój dziadek i ona mu jedna ostała, kiedy wojsko cesarskie spaliło i zrabowało Ujazd... Mielibychmy co słuchać, kieby dała rady mówić! Wiele ubiła wilków i ludzka czaszka też nie jedna ozleciała się pod nią. Sam dziadek prasnął nią żołdaka cesarskiego, co się zalecał do jego baby, tak chwacko, aże dusza doznaku z niego wyszła...

Chłopcy z większem jeszcze uszanowaniem jęli pozierać na ciężką broń, a nawet dziewczęta popowstawały lub wyciągały ciekawie szyje, aby lepiej widzieć. Jedna zaś, czarnooka, o długich warkoczach, zawołała głośno: O raty, przeraty! dyć mróz idzie mi po grzbiebie na wasze słowa stryku!...

— A jako że pokarano dziadka za ono ubicie? — zapytał któryś z młodych.

— Pokarano? — Coby ta miano pokarać!... Poszedł se do lasu na jakowyś czas — i tyla! Mocarny był z niego chłop! Worek grochu niósł na grzbiecie niewiedzieć jak daleko. Wam sie widzi, chłopcy, żeście chwaty, ale drzewiej inaksza ponoś krew płynęła w żyłach Chodów. Nie dalibyście rady tak poczynać, jako mój dziadek. Ów nie uciekał przed napotkanym w lesie niedźwiedziem, ino mocował sie z nim, jako i z chłopem. Raz co sie nie zrobiło: dziadek wziął młode niedźwiadki z gniazda i hyba z nimi do chałupy. Dopad już potoku, aże słyszy ryk poza

sobą. Poziera i widzi jako niedźwiedzica, sadzi za nim, błyskając kłami i rycząc z żałości za młodemi. Dziadek uciekał, co sił starczyło, bo zwierz gnał za nim jako wiatr, aże do samej wsi. Ale haw ludzie zbiegli się ze wszystkich stron i ubili oną niedźwiedzicę.

— A co się stało z małemi?

— Pogryzły i podrapały dziadka one plugacze, aże cały był w krwie... Potem zaniósł je do Domażlic, na zamek i podarował burgrabiemu a ten odesłał kansi do Pragi jakowemuś panu w prezencie.

— Kieby ta jaki niedźwiedź zeźrał Lomikara, kiedy haw polował będzie...

— Owa! ten Judasz dał by mu raczej ze dwa Chodowiaków na pożarcie. Dyć ninie zrobi co zechce. Ma wolę...

— Cichaj! słyszycie? — Dzwonki! — ozwała się Maryna.

Wszyscy umilkli, wytężając słuch. Nie usłyszeli jednak nic. Pomimo to Maryna, obstając przy swojem, zapewniała że dzwonki zadzwoniły wyraźnie...

— Komu by się ta chciało - w taką psotę...

A jednak umilkli znów, wyczekując. Ale z zewnątrz dolatywało jeno wycie wiatru, śniegiem praskającego w drobne szyby okien. C. d. n.

Tłum. M. Wysłouchowa.

BOLESŁAW LIMANOWSKI.

4)

Dynamika społeczna

(Historjozofja).

Osiedlanie się ustalało życie ludzkie we wszystkich jego objawach. Ustalała się też i religja, która — podług trafnego spostrzeżenia Schellinga — najpotężniej przyczyniała się do wytworzenia poczucia jedności narodowej. Rozwijające się poczucie jedności narodowej ułatwiało proces myślowy, prowadzący od politeizmu do monoteizmu. Najlepszy przykład w tym względzie przedstawia naród hebrajski.

Do wzmocnienia łączności pomiędzy rodami i plemionami przyczyniały się także wojny, które nabierały tem większego znaczenia, im społeczeństwa stawały się zasobniejszemi. W pasterskim bycie zdobyczą wojenną było bydło, krowy: w sanskrycie wyraz walka, wojna — gavischti oznaczał pożądanie krów. Rolnictwo — jak to już zaznaczyłem -- uczyniło posiadanie niewolników nader korzystnem. Z osiedlaniem się rozpoczęła się walka o ziemię. Im częstszą była ta walka, im liczniejszemi były napady, tem bardziej uczuwała się potrzeba, aby pewna część ludności, odznaczająca się największą siłą i zręcznością, pozostawała w nieustannem pogotowiu do stawienia czoła napastnikom, wrogom zewnętrznym. W ten sposób wydzieliła się osobna klasa wojowników. Trudno jednak przypuszczać, ażeby w społeczeństwie rodowem klasa ta, pomimo swej niezbędności i organizacji wojskowej, mogła opanować większość onego, ujarzmić je sobie, słowem założyć *państwo*. Główną bowiem cechą państwa aż do późnych czasów jest istnienie w niem dwóch klas: panującej i opanowanej. Taki głęboki podział w społeczeństwie rodowem nie mógłby nastąpić bez długiej i zaciętej walki wewnętrznej. I dla tego o wiele łatwiej przemawia do przekonania hipoteza, że państwo było wynikiem podboju. Proces zakładania państw powtarzał się wielokrotnie w dziejach, ale oczywiście w późniejszych okresach można było w pewnej mierze korzystać z doświadczenia, jakie już ludzkość była nabyła. I pomimo to są wyraźne ślady, że ogromna większość znanych nam państw powstała w drodze podboju. O ile przechowała się tradycja dziejowa w pomnikach, w hymnach lub księgach religijnych, w kronikach, świadczy ona o podbojowym początku państw chińskich, indyjskich, egipskich. Zwycięzcy doryjscy, podbiwszy ludność miejscową, założyli państwa na Krecie i w Sparcie. W państwie rzymskiem podbitą ludnością była sabińska i etruska, w amerykańskiej monarchji Azteków taką ludnością była toltekańska. Wreszcie — jak wiemy — wszystkie zachodnie europejskie państwa powstały w drodze podboju. Do wyjaśnienia kwestji powstania państwa przyczyniłoby się niewątpliwie porównawcze studjum państw środkowej Afryki, albowiem istnieją tam jeszcze formy onej ewolucji początkowej, która na innych lądach utonęła już w zamierzchłej przeszłości. Na najwyższym szczeblu środkowoafrykańskich państw stoi — można powiedzieć — państwo abissyńskie, w którem klasa rządząca, przedstawiająca naród polityczny, składa się z 400000-nej ludności hebrajskiego pochodzenia; rozciąga ona swoją władzę nad 14 miljonami Nubijczyków, Gallasów, Arabów i innych semitów. Dodać należy, że nowsze badania antropologiczne przemawiają także za tem, że ludność panująca zwykle różni się rasowo od innej ludności.

W podaniach najczęściej się mówi o bojownikach, którzy z dobraną drużyną przybywają do nowych krajów, podbijają miejscową ludność i zakładają tam swoje panowanie. Takiemi w pierwszej połowie średnich wieków w Europie były wyprawy normańskie. Istotnie charakter monarchiczny i prywatny instytucyj państwowych aż do późnych czasów zdaje się potwierdzać to przypuszczenie, że zakładanie państw początkowo było dziełem drużyny wojowników, która z jakichkolwiekbądź powodów oderwała się od rodu i szukała dogodnego miejsca osiedlenia się dla siebie. Drużyna ta odzwyczajona od ciężkiej

pracy rolniczej, znalazłszy w wędrówce swojej ludność osiedloną i pracującą na roli, wolała, zamiast onej tępienia lub wypędzania, pozostawić ją na miejscu, ale zmusić ją przytem do oddawania sobie pewnej części zebranego plonu. Wódz drużyny stawał się panem całej opanowanej ziemi. I przez długi czas w państwach monarcha — jak obecnie w Chinach — uważał się w zasadzie za jedynego rzeczywistego właściciela całej ziemi. Podział ziemi pomiędzy drużynę i w ogóle zasłużonych monarsze ludzi, jaki widzimy najczęściej w późniejszych czasach, nie był koniecznym wypadkiem. Oddawana przez podbitą ludność część plonu służyła na utrzymanie wodza i jego drużyny. Wszędzie też w państwach opatrzenie dworu książęcego lub królewskiego stanowi początkowo najgłówniejszą potrzebę skarbu państwowego i przez długi czas nadaje mu cechę charakteru prywatnego. W państwie polskiem — jak wiadomo — aż do XVI, stul. istniał tylko skarb nadworny, czerpiący głównie swe dochody z dóbr królewskich, dopiero w początkach rzeczonego stulecia powstał skarb publiczny, pospolity, zasilany podatkami, przez sejmy uchwalonymi.

I inny wzgląd przemawia za tem, że założenie państwa było raczej dziełem klasy wojowników, aniżeli całego rodu. W tym wypadku bowiem, kiedy przybyłe rody obejmowały ziemię w swe posiadanie, spychały one z niej siedzącą tam już ludność, urządzały się gminnie i wespół z niewolnikami same uprawiały rolę. W późniejszem nawet kolonizacyjnem osiedlaniu się ludności rolniczej widzimy, że tworzy ona samoistne gminy, których związkowi daje nazwę rzeczypospolitej, albo — jak burowie — *państwa wolnego* w odróżnieniu od zwykłego monarchicznego państwa. Gminy te rodowe połączone są z sobą nader luźnie i tylko groza najazdu zmusza je do ściślejszego wiązania się z sobą. Herbert Spencer, nie odróżniając gminnego osiadania na ziemi od państwowego podboju, wielce osłabia indukcyjne znaczenie swych wywodów co do powstawania organizacji politycznych

Oprócz przewagi materjalnej, do utrzymania i utrwalenia bytu państwowego przyczyniały się potężnie jeszcze dwa inne warunki: naprzód ten, że podbójcy, należąc zwykle – oczywiście mówię o pierwotnych, nie zaś o późniejszych dziejach — do szczepu bardziej rozwiniętego, uspołecznionego, mieli w oczach ludności podbitej wyższość moralną i przynosili z sobą wyższą kulturę; powtóre, ten warunek, że ludność podbita aczkolwiek traciła wiele, to wszakże i zyskiwała większe bezpieczeństwo od napaści zewnętrznych i większy spokój wewnętrzny.

W tej odległej epoce, w której zakładano pierwsze państwa, różniczkowanie społeczne mało było jeszcze się dokonało. Wódz drużyny podbójczej, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, łączył w swej osobie zarówno materjalną jak i moralną najwyższą władzę: był nie tylko wojownikiem, lecz i kapłanem. Założycielem państwa meksykańskiego miał być Huitzilopachtli, nazywany w podaniach wielkim czarodziejem, t. j. kapłanem w najpierwotniejszej swej formie. W późniejszych nawet czasach monarchom przypisywano siłę nadnaturalną, rozciągającą ich panowanie aż do świata tajemniczego. Mamy pewną podstawę do mniemania, że początkowe państwa tak w Egipcie, Asyryji, Babilonie, Lydji, jak w Sparcie i Rzymie miały charakter teokratyczno-militarny.

Potrzeba zachowania i obrony państwa zmuszała do ustalenia władzy państwowej, która stawała się punktem środkowym tworzącej się organizacji politycznej. Ta nie tylko miała na celu zabezpieczenie się od napaści zewnętrznej ale i utrzymanie wewnętrznego spokoju, które szczególnie ważnem było tam, gdzie w pobliżu znajdowały się osady różnoszczepowe, różnoplemienne. Osada, w której się znajdowała centralna władza polityczna, stawała się punktem środkowym nietylko życia politycznego lecz także psychicznego i ekonomicznego. Tam formował się osobny stan kapłański, tam powstawała świątynia naczelna. Religja początkowo obejmowała całe życie duchowe, zarówno dziedzinę uczuciową jak i umysłową. Avesta obok przepisów moralności uczy także, jak należy uprawiać ziemię, jak chować bydło. Na znalezionych w Niniwie tabliczkach z gliny, okrytych pismem klinowem, zostały przez tamecznych kapłanów spisane wiadomości, jakie oni mieli o gwiazdach, o tajemniczych własnościach rozmaitych ziół, o zjawiskach przyrody. Kapłani egipscy mieli już laboratorja chemiczne, i sama nazwa chemji (Kema) ma być egipskiego pochodzenia. Najdawniejszy rękopism, jaki jest znany (papyrus Prisse d'Avenes'a), pochodzący z przed 7000 lat, znaleziono w Tebach, i jest kreślony znakami hieratycznemi, których używali sami tylko kapłani. W naczelnej osadzie politycznej, w stolicy — jak to łatwo zrozumieć — rozwijały się i udoskonalały rzemiosła. Tam przybywali pierwsi kupcy z krajów sąsiednich. Mommsen uwydatnia handlowy charakter Rzymu, który, jak powiada był emporium krajów łacińskich. W świątyni lub koło niej odbywała się wymiana. W świątyniach lokowano skarby, tam — można powiedzieć — były pierwsze banki. Alcybiades w imieniu Ateńczyków zawarł pożyczkę u kapłanów Delfickich.

C. d. n.

CZUWAJ!

OPOWIADANIE MATYLDY SERAO

Z WŁOSKIEGO.

7) PRZEKŁAD EUGENJI ŻMIJEWSKIEJ.

— Tak dużo okien wychodzi na morze! — szepnął inspektor. — Ucieczka zdaje się rzeczą łatwą. Dziwię się, że galernicy o niej nie myślą.

— I owszem, myślą bezustanku — odparł kapitan głosem zniżonym. — Spokojni, pracowici, fałszywi i oporni — wszyscy myślą o niej zawsze i ciągle. Ponieważ wolno im chodzić wszędzie, więc sobie wyobrażają, że są swobodni. Co chwila widzę tego lub owego wpatrzonego w morze. Po ich zadumie, po zmarszczeniu brwi domyślam się, że mierzą głębokość wody i odległość ztąd do Bagnoli i do Procidy.

— Ale wyspa zdaje się być źle strzeżoną.

— Tak się zdaje — odparł dyrektor z uśmiechem. — Zaraz panu pokażę.

Minęli dwie ulice i weszli na szczyt skały stromej i tak wysokiej, że spoglądając w dół doznawało się zawrotu głowy. Morze w głębi podobnem było do przepaści.

— Tak jest dokoła — objaśniał Gigli — w dzień szyldwachy stoją co sto kroków, a w nocy czujność zdwojona. Z początku każdy galernik sądzi, że ucieczka jest rzeczą najłatwiejszą pod słońcem, dopiero, gdy stanie na tym zrębie skalnym, aby rzucić się w morze, cofa się przestraszony. Raz znalazłem jednego zemdlonego w trawie.

— Jednak probują uciekać.

— Istotnie: z dziesięciu próbowało, ale żołnierze, stojący na straży, chwytają zbiegów, zanim ci dojdą na brzeg skały, a gdy nie zdążą wstrzymać ich od skoku, to przestępcy zabijają się, spadając w przepaść. Jednemu tylko udało się umknąć szczęśliwie.

— I nie został schwytany?

— Nie. Był to rybak neapolitański z dzielnicy Santa-Luccia — jeden z takich, którzy od dzieciństwa rzucają się do morza i wyławiają z głębin soldy, rzucane im przez publiczność. Nurkowie to niezrównani, nazywają ich *sommozatori* [1]. Nie zdołaliśmy go złapać. Musiał zapewne wyruszyć w kraje odległe na jakim okręcie handlowym.

— A inni?

— Inni pozabijali się na miejscu... Szyldwach słyszał okrzyk jednego... Nazajutrz znaleźliśmy trupa u stóp skały.

— Przykład posłużył zapewne?

— Szczątki były poszarpane, okrwawione — wzbudziły odrazę. Ale nic nie zdoła odstraszyć galerników od ucieczki: wszyscy o niej marzą potajemnie. A obawa śmierci zamiast ich odstręczać, dodaje im właśnie odwagi: żaden nie chce umierać tutaj. Bo też trzeba przyznać, że nasz cmentarz jest okropny. Nie zdołałem skłonić ani galerników, ani żołnierzy do utrzymania go w porządku. W kilka miejscach mur się zawalił, żaden ze skazańców murarzy naprawić go nie chce. Nie pomagają nawet kary. Co zaś do żołnierzy, ci już i tak mają tu ciężkie życie, więc nie uważałem za stosowne zmuszać ich jeszcze do pracy podobnej. Starałem się uzyskać u zwierzchności fundusz na utrzymanie stróża cmentarnego, możnaby wziąć jakiego wieśniaka. Nie otrzymałem jednak odpowiedzi na moje listy, pisane w tej sprawie... Proszę mi wierzyć, panie inspektorze, że sam widok tego cmentarza może natchnąć galerników żądzą ucieczki. Powinienby pan o tem wspomnieć w swoim raporcie.

— Zobaczę, zobaczę! — odparł inspektor wymijająco.

VI.

Przy domu dyrektora był taras, z którego było widać skrawek morza. Nad tarasem rozpięto płótno, chroniące dziecko od słońca i deszczu.

We dni, w których Mario nie chciał się bawić, ani jeździć na spacer, gdy zdjęty osłabieniem i niemocą, leżał odrętwiały i smutny, sadzono go w fotelu na tarasie, obstawiano zabawkami i książkami. Przed tarasem kwitły gwoździki, bratki, pachnący groszek i róże.

Chłopczyk siedział tam godzinami, o nic nie prosząc, nie odzywając się do nikogo. Od czasu do czasu matka przychodziła spojrzeć na smutne dziecko; brała je w objęcia i tuliła do piersi, pytając niespokojnie:

— Co ci jest, kochanku?

— Nic mi nie jest, mamusiu.

— Czy cię co boli?

— Nie, mamusiu.

— Doprawdy? Nic cię nie boli?

— Nie, mamusiu — powtarzał Mario z uśmiechem.

To dziecię trzyletnie było poważne i smutne, jak człowiek życiem złamany.

— Czy ci dobrze?

— Dobrze, mamusiu.

— Chciałbyś pojechać do Neapolu?

— Chciałbym, mamusiu.

— Moje biedactwo, moje biedactwo! — szeptała.

— Ale i tutaj bardzo ładnie — mówił, zarzucając jej rączki na szyję.

— Moje biedactwo! — powtarzała, zdjęta bezmierną litością nad tym kwiatuszkiem, wyrastającym w murach więziennych.

---

[1]) *Sommozatori* w djalekcie neapolitańskim znaczy: prujący fale pod wodą. (Przyp. tłom.)

— Bardzo tutaj ładnie, bardzo ładnie — pocieszało ją to dziecko grzeczne, które nie chciało robić przykrości nikomu.

Ale matka nie dawała się przekonać. Ilekroć widziała synka bladym, milczącym, porywał ją żal gorzki i powtarzała w duchu:

— To galery, galery!

Nic nie zdołało odegnać tej myśli, uporczywej, jak zmora.

Ułudy młodocianego wieku były już rozwiane, nie miała już nigdy zakosztować radości upajających, które los udziela istotom najbardziej upośledzonym.

Nie dbała o własne szczęście. A jeśli serce zamierało w niej z trwogi, to nie o siebie, lecz o to dziecię ukochane, a tak wątłe, o ten blady kwiatuszek, wyrastający w dusznej atmosferze galer, narażony na wstrętne zetknięcia z ludźmi, skutymi w kajdany.

Wszak Mario wiedział, że ci ludzie są złodziejami, mordercami; taka a nie inna była przyczyna tych niepojętych smutków.

— Galery, galery winne wszystkiemu — myślała matka z rozpaczą.

A jednak, skoro sobie tego mąż życzył, skoro Mario sam znajdował w tem przyjemność, pozwalała Roccowi Traette posuwać wózek, dotrzymywać towarzystwa dziecku, naprawiać mu popsute zabawki.

Pokorny, milczący, Rocco przesuwał się po domu dyrektora, przyciskając do nogi kajdany, aby zgrzyt ich stłumić; usuwał się z przed oczu Cecylji, instynktownie czując jej wstręt do siebie; chodził za dzieckiem, wpatrywał się w nie oczyma, pełnemi tkliwości.

Za każdym razem, przed wejściem do domu dyrektora, stawał naprzód na progu i czekał, jak pies na kość, o którą nie śmie się upomnieć, licząc jedynie na ludzką litość.

Czasami Grazietta, ujrzawszy go, mówiła:

— Wejdź-że Wiewiórko.

Czasami nikt nie przechodził, a wtedy Rocco stał pod drzwiami bodaj godzinę, nieruchomy, jak posąg. Niekiedy Cecylja stanęła na balkonie, a widząc go i domyślając się, że oddawna czeka skinienia, przezwyciężała swój wstręt i szeptała:

— Wejdź na górę!

Wzruszało ją spojrzenie tego silnego chłopaka, który oczyma tylko błagał, by mu było wolno ujrzeć jej synka.

Skoro tylko usłyszał takie wezwanie, wsuwał się do domu cichutko, z czapką w ręku i krokiem przyśpieszonym szedł do Maria, brał go na ręce, a mały ożywiał się odrazu.

Bawili się na tarasie całemi godzinami. Galernik siadał na ziemi, ściągał łańcuch i zaczynała się dziwna rozmowa:

— Kto ci dał tę bluzę, Wiewiórko.

— Rząd.

— A czapkę?

— I czapkę.

— To rząd jest bardzo dobry.

Rocco patrzał na dziecko w milczeniu. Gdyby Mario dowodził, że ciemno w dzień biały, to galernik byłby przyznał, że „nie jest jasno“.

Po chwilę dziecię pytało znowu:

— Co dziś jadłeś, Wiewiórko?

— Bób gotowany, paniczu.

— A na drugie danie?

— Także bób.

— A na wety?

Jeszcze raz bobu — powtarzał galernik wesoło.

Śmieli się obaj. Po chwili Mario zamyślał się i oznajmiał:

A ja, Wiewiórko, jadłem makaron.

— Na zdrowie paniczowi.

— Czy i ty lubisz makaron?

— Ma się rozumieć.

— Na przyszły raz schowam dla ciebie cały talerzyk.

— Nie, nie, paniczu, nie warto — odpowiedział galernik z rozczuleniem.

— I owszem, ja chcę, żebyś i ty zjadł makaronu — wołał Mario niecierpliwie.

— Dobrze, zjem, niech się panicz nie gniewa.

Innym razem dziecko było smutne, znudzone, przewracało książkę z obrazkami.

— Wiewiórko, przeczytaj mi, co tam jest pod spodem — mówiło, wskazując napis pod obrazkiem.

— Ja nie umiem czytać.

— Nie umiesz czytać? Jakiś ty głupi!

— Gdybym umiał czytać, nie byłbym tutaj — odpowiadał Rocco.

— Dostałeś się tutaj, bo jesteś łotrem — tłómaczyło mu dziecię ze śmiechem.

— Tak, paniczu - szeptał Traetta — ale ten, kto umie czytać, nie dostaje się na galery.

— Jeżeli się dostałeś, to dlatego, że jesteś łotr — powtarzał chłopczyk rozgniewany.

— Tak, paniczu, tak przyznawał galernik pokornie.

Milkli znowu: dziecię przyglądało się gwoździkom, bo choć był listopad, kwitły jeszcze w promieniach ciepłego słońca. Pokrywała je cienka warstwa kurzu.

— Czy mam je podlać — pytał galernik, odgadując myśli małego tawarzysza.

— I owszem, ale nie wylewaj za dużo wody.

Rocco wstawał i pocichu, przytrzymując kajdany, szedł po polewaczkę do kuchni.

— Trzebaby rondle wyszurować — mówiła mu Grazietta, która się nim chętnie wyręczała.

— Wyszoruję. Ale teraz panicz chce, żebym kwiaty podlał — odpowiadał Wiewiórka.

I wracał na taras, skrapiał wyschłą ziemię. Dziecię przyglądało mu się ciekawie

— Wiewiórko polej jeszcze listki.

— Dobrze, paniczu.

Resztę wody wylewał na darninę, opasującą kwietnik.

Pewnego dnia Mario rzekł do Rocci:

— Zerwij mi gwoździk, Wiewiórko.

Galernik zerwał go delikatnie i podał dziecku.

— Chcę go ofiarować mamie — oświadczył

— Dobrze, paniczu.

— Ty zaniesiesz.

Rocco spojrzał na dziecię z przestrachem.

— Idź! — rozkazał Mario.

— Lepiej, żeby paniczyk sam go ofiarował — rzekł nieśmiało.

— A to dlaczego?

— Widzi panicz, to zrobi więcej przyjemności mamusi.

Głos mu drżał. Mario spojrzał na niego badawczo.

— Panicz wie — tłómaczył galernik — że mama nie lubi takich łotrów, jak my, i słusznie — dodał rozbrajającą z pokorą.

— Tak, słusznie — powtórzył Mario.

Wstał chwiejąc się na słabych nóżkach i pobiegł do salonu, wołając:

— Mamusiu, mamusiu!

Galernik usłyszał odgłos pocałunków, zrobiło mu się smutno, ale i miło zarazem. Począł obrywać zeschłe listki.

Mario wrócił na taras i usiadł w foteliku. Przerzucał książkę z obrazkami, powoli z oczyma ślizgającemi się bezmyślnie po kartkach. Lecz po chwili książka wypadła mu z rąk na ziemię. Rocco podbiegł, chcąc ją podnieść.

— Nie, ja już nie będę obrazków oglądał — rzekło dziecię ze znudzeniem.

— Jak się panicz chce bawić?

— Nie chcę się wcale bawić. C. d. n.

Z pism i książek.

Z ziemi pagórków leśnych, z ziemi łąk zielonych: książka zbiorowa, poświęcona pamięci Adama Mickiewicza w stuletnią rocznicę jego urodzin 1798—1898, Warszawa, Gebethner i Wolf 1898.

W powodzi wydawnictw w roku jubileuszowym poety nie ostatnie miejsce zajmie książka wymieniona. Jest ona niejako ostatniem echem w mnóstwie publikacji o Mickiewiczu, a jakkolwiek echem nieco spóźnionem, jednak zawsze na czasie, bo słuszną jest rzeczą, by ziemia leśnych pagórków i łąk zielonych, gdzie pola, malowane zbożem rozmaitem, do których wieszcz zawsze tęsknił, które zawsze uwielbiał, złożyła największemu swemu synowi jakąś ofiarę w roku jego jubileuszowych godów.

To też zaznacza to dedykacja księgi: „Dziś my, wielkiego poety najbliżsi ziomkowie, cześć wdzięczną mu niosąc — tym skromnym prac zbiorem święcimy jego rok jubileuszowy". A skromny ten zbiór prac obejmuje wszystko, co dzisiejsza Litwa poświęcić może poecie; pisane przeważnie przez samych Litwinów, dotyczą tylko tego, co w bezpośrednim z poetą pozostawało związku — prócz kilku drobnych prac belletrystycznych, które tutaj pominę. Są tam przeto prace, zajmujące się Mickiewiczem i jego osobą; są, dotyczące kraju, z którego wyszedł, miejsc, w których przebywał, które ukochał i do których tęsknił, przyjaciół młodości „sielskiej, anielskiej".

A więc najpierw o samym Mickiewiczu. W rozprawie „Ad altaria Tua" reasumuje profesor Zdziechowski wszystko, co o religijnym pierwiastku u Mickiewicza powiedzieć można. Jako dziecię chorego społeczeństwa przyszedł Mickiewicz na świat, wśród społeczeństwa żyjącego w chwili wielkich przewrotów dziejowych, wielkich nadziei i zawodów. To też pierwiastek goryczy i zwątpienia tkwił w duszy poety od urodzenia. Pobudzają go później wpływy zewnętrzne, jak byronizm, mistycyzm i poczucie nadzwyczajnego posłannictwa i idąca z tem w parze pycha. Lecz z drugiej strony religijność wrodzona i silna wiara działają w kierunku wprost przeciwnym. Rozpoczyna się walka w duszy poety, a wynikiem jej improwizacja, w której wśród uniesień pychy jest także wyraz bezwzględnej uległości Bogu i jego woli, wyłożony w słowach:

Panie czemże ja jestem przed twoim obliczem?
Prochem i niczem.

Słowa te, włożone w usta księdza Piotra, są wyznaniem wiary poety. A ten pierwiastek wiary wzmaga się coraz bardziej u poety; przeradza się w mistycyzm i doprowadza wreszcie Mickiewicza do otrząśnięcia się z tego obłędu. Wyniki swej pracy zbiera prof. Zdziechowski w tych słowach: „Był Mickiewicz z poetów wieku naszego tym, który najgłębiej zrozumiał i uczcił królujący nad światem chrześcijańskim ideał moralny, ideał oddania się Bogu".

Nowym przyczynkiem do charakterystyki poety jest rozprawka „Mickiewicz i Jakób krawiec". Wykazuje ona, jaki urok umiał rzucać twórca „Pana Tadeusza" na ludzi, z którymi obcował.

Filareci także znaleźli w księdze swe miejsce. Są tam opublikowane po raz pierwszy wyjątki z niewydanych pamiętników Ignacego Domejki, rzucające światło na emigrację i jej losy, widzimy Czeczotta i „promienistego poetę" Tomasza Zana w czasie ich pobytu w Leplu.

Wiele rozpraw mówi o Wilnie i jego okolicach, wiele o Litwie i jej dziejach. Rozpatruje panna Skirmunttówna kwestję przyjęcia chrześcijaństwa przez Litwę za Mendoga i Gedymina, rozstrzyga A. Wysłouch historję losów obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej. Wilno i jego historję, jego kościoły i skarby widzimy w rozprawach „Ze skarbców kościołów wileńskich i trockich" i „Wilno na początku w. XIX.".

Na wyszczególnienie zasługuje jeszcze praca Manteuffla Gustawa „Łotwa i jej pieśni gminne", przedstawiająca historję Łotwy, jej obyczajów i zwyczajów, jej ludu i pieśni.

Prócz tych pomieścili jeszcze w zbiorowej księdze swe prace: Pawłowicz (Nowogródek w drugiej połowie bieżącego stulecia), Ptaszycki Stanisław (krótka wiadomość o rękopisach bibljoteki szczorsowskiej), Römer, Giełgud, Uziębło, Rodziewiczówna i inni.

Księgę przyozdabiają podobizny Mickiewicza, kopia obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej i liczne widoki Wilna, Trok i pamiątkowych miejsc Litwy. Wydana bardzo starannie przynosi prawdziwy zaszczyt tej, której staraniem głównie wyszła — p. Skirmunttównie Konstancji.

Stanisław Kossowski.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.